

Teatr

WARSZAWA

M. Nr

11

11-2001

p r z e d s t a w i e n i a

Dziwne misterium

Jacek Wakar

Na widownię wchodzi się w absolutnych ciemnościach. Na scenie zakapturzone przygarbione postaci zapalają dziesiątki świec, trzeba przyzwyczaić się do dymu kadzidel. Już wiemy, że to nie byle jaki melodramat, lecz moralitet. Grać to należy z odpowiednim namaszczeniem, a lekkość, wdzięk i prostota w tym miejscu postrzegane są jako śmiertelny wróg artystów.

Ironizuję, bo pełne pustego patosu i napuszone aż do bólu przedstawienie Agaty Duda-Gracz samo do tego prowokuje. Przed premierą szeptano, że pojawił się wreszcie reżyserski talent najwyższej próby. Powiadano, że Duda-Gracz łączy umiejętności inscenizacyjne z myśleniem o gotowych scenicznych obrazach. *Abelard i Heloiza* boleśnie weryfikuje te zapowiedzi.

Ambicja nieodłącznie towarzyszy młodości. Jeszcze w szkole Agata Duda-Gracz przygotowała *Woyzeck* Büchnera, teraz sięgnęła po oparty na nieśmiertelnym micie o miłości średniowiecznych kochanków dramat Rogera Vaillanda. Zazwyczaj do utworów o takiej skali trudności dochodzi się stopniowo, po latach pracy w teatrze. Duda-Gracz nie chce czekać.

Pisał Vailland o miłości silniejszej niż jakiegokolwiek boskie i ziemskie zakazy, o uczuciu, które za nic ma wszelkie ograniczenia, drwi z wszystkich kar, szydzi ze śmierci. Punktował bankructwo wiedzy i filozofii, stających

się niczym, kiedy człowiekiem zawładnie erotyczna obsesja. Rzucił rękawicę Kościołowi, ostro podważając podstawowe dogmaty średniowiecza. Można bez większego trudu odnaleźć w jego sztuce nutę prowokacji, pozwalającą odczytywać utwór jako *de facto* antyklerykalny.

Mógł wreszcie dramat Vaillanda posłużyć teatrowi do wymierzenia policzka zadowolonej z siebie publiczności – spektaklem ostrym, drażniącym, kipiącym wręcz od emocji i nie skrywanych erotycznych żądz. Historia Abelarda i Heloizy to nie kronika miłosnych uniesień, lecz pulsująca bezustannym napięciem opowieść o pożądaniu, które zasłania oczy. Rzadko w teatrze i literaturze seks jest tak blisko śmierci, ma smak krwi i upokorzenia.

Krakowski *Abelard...* jest jednak przedstawieniem zmarnowanych szans. Nie ma mowy o bezkompromisowości i ostrości spojrzenia, w historii legendarnych kochanków nie ma niczego, co mogłoby nas obchodzić dziś, a dzięki czemu łatwiej byłoby zrozumieć właśnie taki reżyserski wybór. Wydaje się, jakby postaci z tej inscenizacji istniały obok siebie, same dla siebie, zwiłając się w zrozumiałych chyba tylko dla autorki spektaklu paroksyzmach pretensjonalności. W sztuce Vaillanda bohaterowie Igną do siebie, nie zważając na cenę swej bliskości. Tu kończy się na spoglądaniu po sobie i cedzeniu z poważnymi minami słów, jakby to było Bóg wie jakie przesłanie. W efekcie czujemy się tak, jakbyśmy nieproszeni uczestniczyli w jakimś dziwnym misterium, które sami dla

siebie odprawiają aktorzy Teatru im. Słowackiego. Znać, że nie przyszli zwyczajnie do pracy – z uporem godnym lepszej sprawy wmawiają nam ze sceny, że to nie jest normalny teatr, tylko coś więcej, a oni mają do wypełnienia misję. Nic więc dziwnego, że tak prozaiczne sprawy jak miłość, śmierć i erotyka, choć najistotniejsze u Vaillanda, są zbyt blade, by opowiadać o nich ze sceny. I tylko Dominika Bednarczyk (Heloiza) nie dołączyła do tego chóru kapłanów. Gra normalną dziewczynę więcej czującą niż rozumiejącą. Dopiero z czasem pojmie, jaką cenę zapłaci za miłość.

Z przygnębiającej klęski *Abelarda i Heloizy* płynie prosty wniosek. Teatr to tylko teatr i lepiej żeby tak pozostało. Im prędzej zrozumie to Agata Duda-Gracz i jej aktorzy, tym lepiej – i dla nich, i dla widzów.

Teatr im. Juliusza Słowackiego (Scena Miniatura) w Krakowie:
ABELARD I HELOIZA
Rogera Vaillanda.
Przekład: Jan Kott.
Reżyseria i scenografia:
Agata Duda-Gracz,
muzyka: Bolesław Rawski.
Premiera 29 IX 2001.

Dziwne misterium

Jacek Wakar

Na widownię wchodzi się w absolutnych ciemnościach. Na scenie zakapturzone przygarbione postaci zapalają dziesiątki świec, trzeba przyzwyczaić się do dymu kadzideł. Już wiemy, że to nie było jaki melodramat, lecz moralitet. Grać to należy z odpowiednim namaszczeniem, a lekkość, wdzięk i prostota w tym miejscu postrzegane są jako śmiertelny wróg artystów.

Ironizuję, bo pełne pustego patosu i napuszone aż do bólu przedstawienie Agaty Duda-Gracz samo do tego prowokuje. Przed premierą szeptano, że pojawił się wreszcie reżyserski talent najwyższej próby. Powiadano, że Duda-Gracz łączy umiejętności inscenizacyjne z myśleniem o gotowych scenicznych obrazach. *Abelard i Heloiza* boleśnie weryfikuje te zapowiedzi.

Ambicja nieodłącznie towarzyszy młodości. Jeszcze w szkole Agata Duda-Gracz przygotowała *Woyzecka* Büchnera, teraz sięgnęła po oparty na nieśmiertelnym micie o miłości średniowiecznych kochanków dramat Rogera Vaillanda. Zazwyczaj do utworów o takiej skali trudności dochodzi się stopniowo, po latach pracy w teatrze. Duda-Gracz nie chce czekać.

Pisał Vailland o miłości silniejszej niż jakiegokolwiek boskie i ziemskie zakazy, o uczuciu, które za nic ma wszelkie ograniczenia, drwi z wszystkich kar, szydzi ze śmierci. Punktował bankructwo wiedzy i filozofii, stających

się niczym, kiedy człowiekiem zawładnie erotyczna obsesja. Rzucił rękawicę Kościołowi, ostro podważając podstawowe dogmaty średniowiecza. Można bez większego trudu odnaleźć w jego sztuce nutę prowokacji, pozwalającą odczytywać utwór jako *de facto* antyklerykalny.

Mógł wreszcie dramat Vaillanda posłużyć teatrowi do wymierzenia policzka zadowolonej z siebie publiczności – spektaklem ostrym, drażniącym, kipiącym wręcz od emocji i nie skrywanych erotycznych żądz. Historia Abelarda i Heloizy to nie kronika miłosnych uniesień, lecz pulsująca bezustannym napięciem opowieść o pożądaniu, które zastania oczy. Rzadko w teatrze i literaturze seks jest tak blisko śmierci, ma smak krwi i upokorzenia.

Krakowski *Abelard...* jest jednak przedstawieniem zmarnowanych szans. Nie ma mowy o bezkompromisowości i ostrości spojrzenia, w historii legendarnych kochanków nie ma niczego, co mogłoby nas obchodzić dziś, a dzięki czemu łatwiej byłoby zrozumieć właśnie taki reżyserski wybór. Wydaje się, jakby postaci z tej inscenizacji istniały obok siebie, same dla siebie, zwiijając się w zrozumiałych chyba tylko dla autorki spektaklu paroksyzmach pretensjonalności. W sztuce Vaillanda bohaterowie lgną do siebie, nie zważając na cenę swej bliskości. Tu kończy się na spoglądaniu po sobie i cedzeniu z poważnymi minami słów, jakby to było Bóg wie jakie przestanie. W efekcie czujemy się tak, jakbyśmy nieproszeni uczestniczyli w jakimś dziwnym misterium, które sami dla

siebie odprawiają aktorzy Teatru im. Słowackiego. Znać, że nie przyszli zwyczajnie do pracy – z uporem godnym lepszej sprawy wmawiają nam ze sceny, że to nie jest normalny teatr, tylko coś więcej, a oni mają do wypełnienia misję. Nic więc dziwnego, że tak prozaiczne sprawy jak miłość, śmierć i erotyka, choć najistotniejsze u Vaillanda, są zbyt błahe, by opowiadać o nich ze sceny. I tylko Dominika Bednarczyk (*Heloiza*) nie dołączyła do tego chóru kapłanów. Gra normalną dziewczynę więcej czującą niż rozumiejącą. Dopiero z czasem pojmie, jaką cenę zapłaci za miłość.

Z przygnębiającej klęski *Abelarda i Heloizy* płynie prosty wniosek. Teatr to tylko teatr i lepiej żeby tak pozostało. Im prędzej zrozumie to Agata Duda-Gracz i jej aktorzy, tym lepiej – i dla nich, i dla widzów.

Teatr im. Juliusza Słowackiego (Scena Miniatura) w Krakowie:
ABELARD I HELOIZA 2001/02
Rogera Vaillanda.
Przekład: Jan Kott.
Reżyseria i scenografia:
Agata Duda-Gracz,
muzyka: Bolesław Rawski.
Premiera 29 IX 2001.